

O podrabianym rublu i skandalicznych wypadkach w Kamionnej,
fałszywy komedian w Czyżewie, puderkłozety w Sterdyni,
bez opamiętania tną lasy pod Nurem, strzały w Klimontach

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Ludwik Górski, założyciel szpitala w Sterdyni w otoczeniu miejscowych włościan.

Fotografia ze zbiorów dr. Jarosińskiego¹.

Donoszą, że w niedalekiej, położonej w powiecie węgrowskim Kamionnej źle się dzieje. Powszechna edukacja praktycznie nie istnieje, lud jest ciemny i biedny, zatem nic dziwnego, że zamiast banknotów wciska sklepikarzom własnoręcznie zagryzłone papierki. Po dożynkach leżą tam ludziska pokotem w rowach, a i różnych wydrwigroszy we wsi nie brakuje. Redakcja przejeżdżała jednak pewien czas temu przez tę miejscowość i podobnych ekscesów nie widziała. Może to tylko łotrzyk jakiś szkaluje tamtejszych mieszkańców? Jeśli nadejdą sprostowania, wyjaśnienia, erraty to nie omieszkamy ich migusiem opublikować.

Obywatelstwo z okolic Czyżewa, tak pragnie kultury i sztuki, że gotowe jest ozłocić każdego, kto zaproponuje bezpośrednio obcowanie z muzami.

Dr Tchórznicki zaprasza, abyśmy odetchnęli powietrzem szpitalnym sprzed prawie 150 lat – przyjemność to nader wątpliwa. Jako człowiek czynu, doktor podjął się zatem zadania, zdawałoby się beznadziejnego, a mianowicie usunięcia z tegoż powietrza drażniących powonienie i dla zdrowia szkodliwych miazmatów. Wszystkie swe działania szczegółowo opisał w zamieszczonym poniżej artykule. Okazuje się, że tak obecnie popularyzowane ekologiczne toalety nie są niczym nowym.

W większości miejsc w Polsce, aby kogoś nastraszyć, staje się za jego plecami i wydaje zniecka okrzyk jakiś. W Klimontach pod Ostrowią używają w tym celu rewolwerów zwanych z rosyjska *Naganami*.

Stali czytelnicy dobrze znają naszego stałego korespondenta Rafałka, tym zaś którzy tę stronę odwiedzają tylko z doskoku, wyjaśniamy, że młody Rafałek to jednostka wybitna, reprezentująca 100% populacji intelektualistów swej nadbużańskiej miejscowości. To także osoba niezwykle aktywna, podejmująca liczne inicjatywy społeczne. W początkach stycznia donosiliśmy, że właśnie stworzył szkolne kółko miłośników porządku, prawdy i uczciwości. Zadaniem tego kółka była walka z chaosem na przerwach lekcyjnych oraz bezwzględne zwalczanie plag ściągania i podpowiadania.

Lojalnie ostrzegaliśmy Rafałka, aby przed podjęciem tych szczytnych, lecz ryzykownych działań poprosił siły wyższe o wstawiennictwo, a przynajmniej odnalazł i zapamiętał numer telefonu linii interwencyjnej dla dzieci prześladowanych przez rówieśników. Jako osoba skrajnie racjonalna Rafałek zrezygnował ze starań o wsparcie niebios, ograniczając się do spisania na dłoni – z użyciem tuszu trudno zmywalnego – numeru telefonu wspomnianej linii. Prześladowania spadły na naszego bohatera już w dniu wywieszenia nad wejściem do szkoły

¹ „Wieś Ilustrowana”, nr 1 ze stycznia 1910 r.

transparentu z napisem: „Sprawdziany są dobre, zabawa jest złem. Żądamy częstszych klasówek i codziennych prac domowych”. Do pierwszych agresywnych wystąpień doszło już na przerwie po pierwszej lekcji, przed którą poinformował nauczyciela, którzy z uczniów nie odrobili prac domowych i nie są przygotowani do lekcji.

Prawdziwe piekło rozpętało się jednak dopiero po wyjściu ze szkoły. Rafałka gonił tłum rozwścieczonych młodocianych troglodytów, gotowych do linczu w stylu westernowym. Na chwilę zmylił pogoń, skrył się w kurniku Marciniakowej, po czym zadzwonił pod numer spisany na dłoni. Usłyszał, że ma spokojnie czekać na połączenie z konsultantem, po czym ze słuchawek popłynęła muzyka poważna. Jako intelektualista jest naturalnie miłośnikiem tego rodzaju muzyki, ale kurnik nie jest miejscem odpowiednim do delektowania się sztuką, zatem dźwięki nie działały kojąco. Pomimo iż głos w telefonie, co minutę upominał, aby spokojnie czekał, to robił się coraz bardziej nerwowy, słysząc dochodzące zewsząd nawoływania: „Szukajcie padalca... Tu go nie ma... Musi gdzieś być”.

Rafałek jest osobą aktywną towarzysko, ale zacofani, nieświadomi potrzeb współczesnego dziecka rodzice zaopatrzyli naszego miłośnika porządku jedynie w telefon na kartę. Po piętnastu minutach nadawania koncertu fortepianowego telefon zamilkł. W tym momencie do kurnika wpadła zgraja barbarzyńców. Na szczęście, nisko zawieszony sufit oraz śliska od guana podłoga sprawiły, że motłoch wzajemnie sobie przeszkadzał w wypełnieniu morderczych zamiarów. Trudne warunki lokalowe nie uchroniłyby jednak Rafałka od niewymownych cierpień, gdyby nie zaniepokojona krzykami Marciniakowa, która po chwili ukazała się z widłami w dłoniach i rozgoniła kilkunastoosobową bandę. Skończyło się na kilku niegroźnych siniakach. Ofiara prześladowań z dumą patrzyła na te plamy na skórze, które w oczach Rafałka urastały do miana stygmatów. Był kolejnym ogniwem, w niekończącym się łańcuchu bohaterów, pragnących zmienić świat na lepsze, dla których jedyną nagrodą były szykany i cierpienia zadawane przez prymitywne pospólstwo.

Zdał sobie sprawę, iż popełnił oczywisty błąd, spodziewając się po swych rówieśnikach większych ambicji niż chęć zaspokojenia zwierzęcych popędów. Stało się jasne, że jedynym marzeniem tych nastolatków, było przejście na rentę lub wcześniejszą emeryturę, aby wzorem rodzicieli wylegiwać się na kanapie, popijać piwko z puszek lub nieekologicznych, bezzwrotnych butelek i drapiąc się po brzuchu, wpatrywać w telewizor o możliwie największej przekątnej. Widział kilka filmów, których akcja rozgrywa się w amerykańskich slumsach i gettach. Dobrze, że jego miejscowość to kąś tak zapadły, że o jego istnieniu nie wie żaden amerykański diler. W przeciwnym wypadku prawie wszyscy tutejsi mieszkańcy byłiby uzależnieni od narkotyków, dilerzy zaś jeździłoby w furach o zmiennej wysokości zawieszenia, wyposażanych w ogłuszającą aparaturę akustyczną.

Z jednym musiał się ze swymi rówieśnikami zgodzić, a mianowicie z powszechnie panującą pośród nich opinią, że rodzice są ogólnie do niczego, nic nie rozumieją, że są po prostu głupi. Reakcją rodziców na jego stygmaty nie był przecież podziw, a choćby i współczucie, ale lakoniczne stwierdzenie – A nie mówiliśmy? Nie ostrzegaliśmy? – Rafałek nie poddawał się i jeszcze tego samego dnia powiadomił rodziców o swej nowej, planowanej inicjatywie. Nie wykazali śladu zrozumienia, a tata posunął się nawet do stwierdzenia, że mają dość dziwactw syna i gdyby przyszło im się rozwieść – do czego niewątpliwie skutkiem jego ekscesów dojdzie – to będą walczyć z matką, o nieprzyznanie opieki nad Rafałkiem. Nic bardziej nie boli niż zdrada we własnym domu, zdrada ze strony najbliższych.

Długo nie mógł zasnąć, gdyż myślał, myślał... W końcu doszedł do wniosku, że walka ze szkolną anarchią nie ma najmniejszego sensu i prędzej czy później, stanie na przeszkodzie jego podróżniczym planom. Nie ulega bowiem wątpliwości, że takiego jak on miłośnika porządku, ktoś w końcu wpisze na listę ściganych przez policję całego świata, pravicowych ekstremistów, a wtedy żegnaj *pina colado*, żegnajcie piękne dziewczęta wysp Pacyfiku i Karaibów. Mówiło się, że pan Marek z sąsiedztwa ma w paszporcie wbitego misia² i nigdzie nie może z tym ssakiem wyjeżdżać – z pewnością i Rafałkowi wbiją misia, kładąc kres jego eksploracyjnym zamierzeniom. No, może jeśli chodzi o Karaiby, to sprawa nie jest zupełnie przegrana, gdyż na jednym z filmów dokumentalnych widział, że podobnych jemu radykałów zsyłają czasami do Guantanamo na Kubie, ale warunki zakwaterowania, obsługa i wyżywienie są tam podobno fatalne. W dodatku nie zna hiszpańskiego.

Jako zaszczuty nastolatek, postanowił nie pójść następnego dnia do szkoły. Wbrew swym zasadom udał chorobę, pozostał w domu, bo w małej miejscowości, nie można marzyć o wielkomiejskich wagarach – nie ma tu muzeów, kin, Burger Kinga... jest tylko ZOO, ale to akurat mieści się w szkole... ha, ha, ha. Zresztą, po co szkoła? Ta ogłupiająca instytucja wypuszcza tylko kolejne pokolenia nieudaczników. W tym momencie Rafałek zdał sobie sprawę, że dobrze być intelektualistą, bo takie wybitne jednostki nie muszą harować w pocie czoła przez całe życie. Doszedł także do wniosku, że zamiast przesiadywać z bandą prymitywów w klasie, lepiej jest czas poświęcić lekturom, które młodemu człowiekowi zapewnią świetlaną przyszłość. Okazało się, że w sieci pełno jest książek i poradników, typu *Jak zostałem multimilionerem* czy *Bądź człowiekiem sukcesu*. Wystarczy zapoznać się z treścią dwóch... góra czterech podobnych publikacji, później postępować zgodnie z zamieszczonymi tam receptami i ani się człowiek nie obejrzy, a świat leży u jego stóp. Warunkiem jest opuszczenie rodzinnej miejscowości, bo jeśli tu pozostanie, to nigdy nie zdoła rozwinąć skrzydeł i w końcu stanie się emocjonalnie zdruzgotanym odludkiem.

Jedyne sensowne wyjście to ucieczka z domu i to jak najszybsza. Każda kolejna godzina w tym strasznym miejscu, przybliża moment, w którym zrówna swą przyszłość z tą rówieśników, czytaj – życiowych nieudaczników. Wyjedzie, znajdzie pracę, ożeni się, będzie szczęśliwy i zaspokojony intelektualnie. Znajdzie pracę, a nie robotę, bo preferuje zajęcia niewymagające wysiłku fizycznego, najlepiej takie, które motłoch uważa za bezsensowne... wykonywanie nikomu niepotrzebnych analiz, albo coś, co się nazywa piastowaniem.

Wspominaliśmy, iż Rafałka wspiera w jego działaniach Mariolka. To druga miłość naszego bohatera, bo pierwszą była nauczycielka, którą obdarzył żarliwym uczuciem w drugiej klasie. To jednak nie czas, aby opisywać historię tamtej burzliwej, choć całkowicie jednostronnej miłości. Tamto uczucie poszło na marne, ale tego nie wolno obrócić wniwecz, bo przecież tylko raz w życiu ma się lat jedenaście i kocha się bez pamięci Mariolkę. Jakże zostawić wybrankę na żer barbarzyńcom, gdy on sam będzie brylował na światowych salonach?

Zaproponował Mariolce wspólną ucieczkę do Warszawy, roztoczył sielankową perspektywę wspólnego życia pod palmami. Może trochę przesadził, ale będąc z klasą na wycieczce w Muzeum Narodowym, dostrzegł palmę rosnącą na środku pobliskiego ronda, a skoro jest jedna, to pewnie jest ich więcej. Odpowiedź Mariolki była niczym zimny prysznic. Beznamiętnie oświadczyła, że nadzwyczaj szybko dorasta, a tym samym z ubrań wyrasta, co zmusi ją do rychłej zmiany garderoby, a także stylu na taki bardziej dojrzały – tego zaś nie dokona bez

² Zwana popularnie „misiem”, wbijana do paszportu pieczętka, zakazująca wjazdu do Niemiec.

finansowej pomocy rodziców. Po chwili zastanowienia zmieniła zdanie, mówiąc, że owszem wyruszy z nim pod palmy, ale chce diamentowy naszyjnik, albo przynajmniej równie diamentowy pierścionek.

Iluż klęsk w ciągu jednego dnia może zaznać genialne dziecko? Rodzice są beznadziejni, rówieśnicy durni i sadystyczni, kobiety wyrachowane, zimne, okrutne. Skończone. Nigdy więcej kobiet. Jak żyć?

[„Gazeta Świąteczna”, nr 32 (136) z drugiej niedzieli sierpnia 1883 r.]

Z parafii Kamionnej, powiatu węgrowskiego, guberni siedleckiej, donosi pan Marcin Luborzycki, że żniwa tam się rozpoczęły na dobre, ale deszcze przeszkadzają sprzętom. Oziminy rzadkie, jarzyny niezłe na oko, siana dwa razy więcej niż w roku zeszłym, owoców zaś w sadach wcale niewiele. Co do urzędzeń jest to najgorsze tam, że szkoły w całej parafii nie ma. Włościanie o niej nie myślą, chociaż zamożni i nikt im z boku nie przypomni potrzeby nauki. Na cztery tysiące ludności parafialnej ledwie kilku włościan umie jako tako pisać, cały zaś ogół ciemny, Zdarzył się w parafii taki wypadek. Do wójta w Kamionnej przyszedł ze skargą wyrostek 19-letni Marcin Marchlik, a oskarżał Żyda Mordkę ze wsi Boczki o to, że nie oddaje mu rubla. Co do tego rubla, rzecz po porządku stała się taka. Marchlik poszedł do Mordki po papierosy i zażądał ich za 20 groszy, ale Mordki nie zastał w chałupie, więc mu je dała żona Mordkowa. Kiedy przyszło do zapłaty, trzeba było wydać reszty Marchlikowi z rubla, ale Żydówka obejrzała papierek, wzięła z powrotem papierosy i poszła do męża w podwórze. Wróciwszy następnie razem z nim do chałupy, powiedzieli, że papierek fałszywy i że Marchlikowi go nie oddadzą, jeno do sołtysa zanosą.

Wójt wysłuchał zaskarżenia i zavezwał do kancelarii Mordkę, który przyszedł i przyniósł owego rubla. Jest to papierek taki, że zaraz na oko każdy go za fałszywy uzna, bo jest zrobiony piórem i zafarbowany żółtkiem z jajka czy czymś podobnem. Wywiązała się z tego sprawa przed wójtem, a następnie przed sądem. Marchlik zaś tłumaczy się, że on Mordkowej dał inny papierek, więc tak by wyglądało, że dobrego jakoby odmienili Żydzi, ale jest świadek z jednej z Marchlikiem wsi, który utrzymuje, że widział u niego w domu takie same dwa ruble. Przeciw Marchlikowi ten jeszcze jest zarzut, że będąc piśmiennym, nie przyznał się do tego przy spisaniu protokołu. Jak się skończy ta sprawa – nie wiadomo, ale rzecz widoczna, że ktoś podrabiał papierki, a przynajmniej próbował tego. Bardzo to niewesołe rzeczy, kiedy po wsiach puszczają się ludzie na taki przemyśl. Brzydka to rzecz i kryminałem pachnie. – *m.*

[„Gazeta Świąteczna”, nr 36 (140) z drugiej niedzieli września 1883 r.]

Z parafii Kamionnej, położonej w powiecie węgrowskim na Podlasiu, dowiadujemy się znowu od pana Marcina Luborzyckiego o nowinach tamtejszych.

Pisze on, że we wsi Kamionnej odbyły się 18 sierpnia dożynki i naturalnie nie bez rozweselenia, i tańców. Rzecz to godziwa, że się ludzie radują w dniu takim, kiedy plon całorocznej pracy zebrano, a jeszczeż w tym roku, co to niełatwo było przed deszczami z tem się uwinąć. Radość

człowieka powinna jednak mieć miarę – tę miarę, która mu nakazuje utrzymanie godności ludzkiej. Czy tak było na onych dożynkach w Kamionnej? Nie miło nam mówić o tem, ale powtarzamy za listem pana Luborzyckiego: nie, nie tak było; dlatego nie, że wielu następnie tarzało się po drogach i rowach niby zwierzęta. Nierogaciźnie podwórzowej wolno tak się zachować, jak ona chce, a więc ryć nosem ziemię i wylegiwać się w kałuży. Człowiekowi to nie przystoi. Pan Luborzycki tak pisze: „Obchodzono dożynki w sobotę, a w niedzielę o świcie spotykałem pijanych ludzi, ale tak pijanych, że troje leżało w rowie: dwie kobiety i jeden mężczyzna. To w jednym miejscu, a ileż było takich wypadków na innych drogach?”. Uwagę swoją kończy piszący na tem, że „nie należało na dożynkach, aż tak hojnie raczyć zaproszonych wódczyskiem”. Tak – nie należało! My nie wiemy, kto te dożynki wyprawiał; źle się jednak zarządził z przyjęciem, kiedy dopuścił pod swoim dachem zbydlęcenie natury ludzkiej.

Daremnie mówią niektórzy, że w prostym stanie, wtedy jest człowiek zadowolony z przyjęcia, kiedy mu się nie skąpi kieliszka. Odpowiadamy na to. Zadowolenie gościa zależy od gospodarza; jakby on sam wziął udział w zabawie, a zastanowił się po chrześcijańsku, po polsku, co się godzi, a co nie godzi, nie byłoby potrzeby zapijania się wódką, aż do zezwierzęcenia natury ludzkiej – do gwałtu nad tą naturą, wobec Boga i kraju. Źle jeszcze z nami, bardzo jest źle, kiedy nie chcemy pamiętać o tem. Jeżeli nie jest fałszem i jeno pustym bzdurzeniem to, co czytamy o trzeźwości tak często w pismach, co sami mówimy i czem się lubimy przechwalać, to przede wszystkim o otoczeniu naszym w takim lub innym razie więcej pamięci zachować trzeba. A kto to głównie mieć powinien na oku? Pozostawiamy odpowiedź temu, kto wyprawiał dożynki w Kamionnej. Niech nam wybaczy tych kilka słów. Wobec zgorszenia, jakie pada na okolicę, nie mieliśmy prawa pominąć milczeniem wiadomości nam udzielonej.

Inne nowiny z parafii Kamionnej są takie: Nad okolicą tamtejszą, 20 sierpnia srożyła się burza z wielkimi grzmotami i deszczem ulewnym. Od uderzenia piorunu spalił się dom mieszkalny i wielka stodoła ze zbożem we wsi Turno należącej do pana Popiela. Deszcze tam padały ciągle prawie przez parę tygodni, to też wielki kłopot mieli ludzie ze sprzętem jarzyny i o kartofle obawiają się bardzo, bo od ciągłej mokrości mogą gnć w ziemi.

Łazęgów ze świata, którzy na oszukiwaniu ludzi zakładają swój zysk, nie brak także w okolicach tamtejszych. Do miasteczka Czyżewa przybył jakiś wiercipięta, który się nazwał Rapackim i objeżdżał dwory okoliczne, zapowiadając widowisko teatralne, z którym miał wystąpić w domu szkolnym 11 sierpnia. Dziedzice w dworach brali od niego za gotówkę bilety. Kiedy nastąpił dzień widowiska, zjechali się przed szkołę, patrzą, a tu szkoła zamknięta, więc oczywista rzecz, że widowiska nie będzie i o owym komedjancie nikt nie wie. Gdy tak stoją i pokpiwają z siebie nawzajem, że się dali oszukać, któryś z nich spostrzegł skradającego się rowem ku stacji kolejowej człowieka. Młodzi skoczyli za nim... i oto oszukańca złapali. Przywołano wójta i obrewidowano łazęgę. Znalaziono przy nim 80 rubli gotówką, więc każdy odebrał co swoje, ale zostawało jeszcze 16 rubli. Za tę resztę obiecywał on widowisko zaraz przedstawić, ale na tem nie chcieli już być zebrani, więc przed wójtem i przed strażnikiem powiedział wiersze jakies i na tem koniec. Szkoda jednak, że tak łatwo puszczone łazęgę, bo tego imienia jest w Warszawie bardzo zacny i przede wszystkim lubiany człowiek, a tamten oszust nazwał się bratem jego. Takiego samozwaństwa nie należy puszczać bezkarnie. – *l.*

[„Zdrowie”, nr 29 z lutego 1888 r.]

UŻYCIE MATERIAŁÓW TORFOWYCH w ustępach szpitalnych

podał
Dr Tchórznicki
lekarz szpitala św. Pawła w Sterdyni
[fragmenty]

Wobec dzisiejszych pojęć i teorii stwierdzonych mikroskopem jest rzeczą pewną, że jednym z najpierwszych warunków lecznictwa jest czyste powietrze i najwłaściwiej byłoby w polu lub w lesie budować dla chorych domki czy małe szpitaliki i tam ich leczyć. Ale wykonać to, nie jest łatwo.

[...]

Niestety, w każdym szpitalu większym i mniejszym mamy stałe zbiorniki mas gnijących w postaci zbiorników odchodów, które przez pewną liczbę godzin zatrują atmosferę korytarzy i sal. Dość jest wejść do szpitala, aby poczuć tak zwane: „szpitalne powietrze”. Nieprzyzwyczajony cofa się instynktowo, słaby na nerwy mdleje, a nieszczęśliwy chory i posługacz szpitalny oddychać nim dzień i noc muszą.

Śmiało twierdzę, że główną przyczynę tego zepsucia powietrza stanowią owe zbiorniki odchodów, z których gazy wnikają w każdy zakątek, przejmują pościel i odzież, a nawet księgi szpitalne.

W miastach, gdzie systematycznie przeprowadzają kanalizację, zbiorników kloacalnych nie ma, ale takich miast w Królestwie wcale nie mamy dotąd.

Pytanie, czy w szpitalach mniejszych, w małych nawet miasteczkach powietrze jest czystsze? Bynajmniej. Przede wszystkim szpitale te są upośledzone materialnie, źle uposażone, zbudowane systemem korytarzowym i niektóre tak fatalne posiadają warunki, że chcąc je polepszyć, trzeba by cały szpital wraz z inwentarzem spalić i wybudować nowy, lecz nim to nastąpi, łatamy biedę po trochu, dokupujemy nową bieliznę, ubranie i mieszamy takowe z poprzednim starym, zamalowujemy osady i całe kolonie bakterii na ścianach i drzwiach olejną farbą, nareszcie urządzamy wentylację. Wszystkie środki jednak pozostają zazwyczaj bez skutku z powodu wadliwego sposobu wydalania nieczystości, gdyż z dołu kloacznego ciepła atmosfera sal wciąga gazy z ekskrementów, a jeżeli na miejsce dołów kloacalnych, są urządzone wózki ruchome, to wózki te usuwają się dwa razy tygodniowo, przez cały zaś ten czas gnijące masy konserwują się, narażając szpital. Na wydalanie więc nieczystości powinna być stale zwróconą uwaga zarządów szpitali i to zarówno miejskich jak wiejskich, dużych i małych.

Przytem wywożenie samo jest operacją fatalnie przykrą dla pracujących i potrzebującą zaparcia się samego siebie.

Otóż tedy, aby dać pojęcie, jak poradziłem sobie w szpitalu, w którym ordynuję, opiszę, jak w nim było i jak jest obecnie.

Szpital św. Pawła w Sterdynie założony w r. 1862 liczy dziś 25 lat egzystencji. W pierwotnym planie pomieszczono dół kloaczny wyłożony cementem w północnej stronie budynku – nad nim urządzono odpowiednie miejsca, od dołu zaś przeprowadzono kanał podziemny wiodący do pobliskiego stawu. Budowa ta odbyła się pod okiem bardzo światłego lekarza i urządzenie takie przetrwało do roku 1878. Powietrze bywało czasami fatalne, a zawsze było złe.

W r. 1878 urządzono nowe kloaki w ten sposób:

Skasowano dawny dół i zamknięto kanał, pod rury zaś wiodące od ustępów ku ziemi, podstawiono wózek żelazny okuty mocno na żelaznych kołach i wylany wewnątrz smołowcem. Wózek taki ustawiono na cementowej podłodze i w razie napełnienia usuwano, na miejsce jego stawiając także drugi. Wózki urządzone były tak, że mogły być zaprzęgane – mogli też i ludzie wyciągać takowe. Gazy zaś miały być odprowadzane ku górze długimi drewnianymi rurami umieszczonymi w kątach przedziałów.

Powietrze w salach szpitalnych było wciąż złe, dopomagała jeszcze temu ta okoliczność, że korytarze i wychodki nie były ogrzewane – ciepłe więc powietrze sal ciągnęło silnym strumieniem gazy z wózków przez korytarz. Tak było przez 9 lat i wszelkie starania o utrzymanie świeżego powietrza okazały się płonnymi.

Na dobitkę sposób usuwania wózków spotykał wiele trudności. Miejsca naznaczonego stale do składania nieczystości nie było, gdyż płodozmiennie pola musiały być nieraz w bliskości szpitala zasiane, przeznaczono więc miejsca do wywózki odległe nieraz o wiorstę. Służący zajmujący się tą pracą mówili mi zawsze, że wszystko usunięte jest i wywiezione – tymczasem okazało się, że nocą wózki przez ogród szły do pobliskiego stawu, tam je wypróżniano, myto i stawiano na miejsce, a naprzeciwko ulicy ogrodowej, na stawie utworzyła się wyspa.

Czy można było obwiniać o to służbę? Co do mnie, uważałem, że służba nic nie winna – winne samo urządzenie niewłaściwe, niemożliwe, niegwarantujące wcale czystości powietrza i narażające ludzi piorących bieliznę w stawie na tyfus, różę lub inną chorobę.

Warszawska wystawa higieniczna, w ogóle dała impuls do poruszania kwestii higieny publicznej, a w liczbie innych jej działów i szpitalnej, a torfy i puderkłozety zajęły mą szczególną uwagę. Rozumowałem sobie tak:

Świetną jest kanalizacja i klozety wodne są urządzone bardzo pięknie i praktycznie, ale z waterklozetów zawartość spłukać potrzeba znów wodą do beczki, dołu lub stawu, bo kanalizacja w małych miastach nieprędko się ukaże. Chcąc więc, aby wypróżnienia nie narażały powietrza szpitalnego, potrzeba ująć takowe w masę stałą – słowem wytworzyć kompost. Lecz obejrzawszy puderkłozety mechaniczne w namiocie p. inżyniera Rymkiewicza, znalazłem, że mechanizm takowych jest zbyt złożony i łatwo popsuć się może, puderklozet przestanie działać a majster daleko i oto nowe fiasko.

Udałem się więc z propozycją do wyżej wymienionego inżyniera o urządzenie daleko prostszych i tańszych przyrządów, które też z powodzeniem następnie zastosowałem.



Podług fotografii Conrada.

Dzieci się bawią.

Warszawska Wystawa Higieniczna³.

Trzeba wiedzieć, że szpital liczy 20 łóżek, razem ze służbą przebywa w szpitalu 30 osób dziennie. Oto tedy, udałem się z przedstawieniem do Rady Powiatowej Dobroczynności Publicznej i uzyskawszy odpowiednie zezwolenie, zarządziłem następujące przeróbki:

1. Wózki poprzednie usunięto zupełnie.
2. Dawniejsze siedzenia i rury przesiąkłe i wilgotne usunięto i w każdym z przedziałów ułożono świeżą podłogę. Utworzyło się więc 3 przedziały gotowe do przyjęcia ruchomych puderkłozetów.
3. Do tych przedziałów wstawiono 5 sedesów urządzonych w taki sposób: półokrągły sedes z jesionowego drzewa, politurowany o gładkich brzegach, z otworem w środku opiera się na trzech mocnych nogach przymocowanych prętami i mutrami żelaznymi do podłogi, pod którą stał dawniej wózek. Pod sedes podstawione jest wiadro z blachy cynkowej formy owalnej, lakierowane wewnątrz i zewnątrz (lepiej by było, gdyby mogło być pokryte masą gładką nieprzepuszczalną w rodzaju taniej emalii), wiadro to łatwo się usuwa, ma rączkę szeroko i swobodnie poruszalną z grubego drutu i z drewnem toczonym na środku. Na przedniej stronie wiadra jest dodatek z blachy dla łatwiejszego wysuwania takowego spod sedesu.
4. Obok stoi skrzyneczka drewniana napełniona proszkiem otwockim, na wierzchu, którego leży blaszana mocna szufelka, na wierzchnim denku pudełka znajduje się przycisk utrzymujący pewną ilość papieru.

³ „Biesiada Literacka”, T. 42, nr 28 z 10 lipca 1896 r.

5. Na miejscu dawnego wózka, na cementowej podłodze jest ustawiony inny wózek służący do wywózki kubłów, tak urządzony, że na 4-ech kołach leży rama żelazna, powyżej druga, a w nich jest 5 miejsc odpowiadających kształtem formie kubłów, które swobodnie w te gniazda wchodzi.

6. W każdym z oddziałów jest osobny wentylator sufitowy, a osobny piecyk ogrzewa ustępy.

7. Poza ogrodem szpitalnym jest urządzony rów głęboki na $1\frac{2}{3}$ łokcia. Rów ten przeznaczony jest na zsypkę zawartości wiader i utworzenie kompostu.

Usuwa się więc nieczystości w ten sposób: codziennie rano dwaj służący zakrywają przykrywkami wiadra, a ująwszy za dolny dodatek, wysuwają takowe spod sedesów, potem ująwszy za rączkę, wstawiają do wózka jedno wiadro za drugim i trzymając za dyszelek, wywożą przez dziedziniec szpitalny za ogród do składu kompostu; tu wiadro po wiadrze wsypują do rowu, a ziemię wyjętą dawniej z rowu i leżącą na borcie, całą masę zasypują; ponieważ samo wysypywanie wiader nie oczyszcza takowych dostatecznie, obmywają więc takowe albo wodą przywiezioną w jednym z czystych wiader, albo zaczerpniętą w sąsiednim stawie, albo wreszcie pod pompą nad rynsztokiem.

Wiadra tedy powracają do szpitala czyste, jednocześnie oczyszcza się codziennie cały przedział i powietrze sal nie ma skąd nabierać złej atmosfery.

Każdemu choremu przybywającemu do szpitala, służący objaśnia sposób użycia sedesu, a idzie tu głównie o to, aby każde wypróżnienie było natychmiast zasypane jedną szufelką proszku. Zresztą służący odpowiedzialni są za czystość klozetów.

Robiono mi w początku zarzuty dość poważne, które postaram się wyjaśnić.

1. Że trudno jest niesłychanie za każdym chorym śledzić, że za każdym musi chodzić służący. W tym względzie bardzo wiele zależy od tego, czy wstępującemu choremu objaśniono sposób użycia sedesów lub nie; jeżeli objaśniono, to bardzo rzadki przypadek, aby chory przez niedbalstwo lub naumyślnie nie spełnił polecenia. Służący rzeczywiście powinien kilka razy dziennie do ustępów zajrzeć, lecz to przy każdym urządzeniu ma miejsce, gdyż służący muszą wyprowadzać często chorych potrzebujących pomocy, a zresztą czem częściej służący zajdzie i zwróci uwagę na czystość, tem lepiej. Zarzut zresztą ten usuwa się wobec wprawy chorych i przyzwyczajenia, chociaż pilność służby jak wszędzie, tak i tu jest konieczną.

2. Że wiadra prędko ulegną zepsuciu. Rzeczywiście wiadra winny być z dobrej grubej blachy i jeżeli środki na to pozwalają, winny być pokryte z zewnątrz i wewnątrz polewą grubą, jaką się używa do emaliowania naczyń kuchennych. Ekstremanta bowiem wraz z moczem prędko przegryzają nawet grubą cynkową blachę i często wiadra zmieniać trzeba.

3. Że służący muszą co dzień kubły oczyszczać, co jest męczącym. Przeciwnie, rozmawiałem o tem ze służącymi, którzy byli przy poprzedniej metodzie i przy obecnej. Obaj jednogłośnie i szczerze nie mogli nachwalić się łatwości, z jaką dziś usuwają wiadra, nadmieniając, że dawniej, zabijające powietrze wózków nieraz wywoływało u nich wymioty.

4. Że lepiej jest, jeżeli mocz może być osobno odprowadzony. Zapewne, że to mogłoby mieć miejsce, potrzebny by był nowy rezerwuuar, który jednak byłby zawsze cuchnący i płynny. Tymczasem proszek szybko wsysa wilgoć i przy jego użyciu w dostatecznej ilości zawsze mamy powierzchnię zawartości suchą.

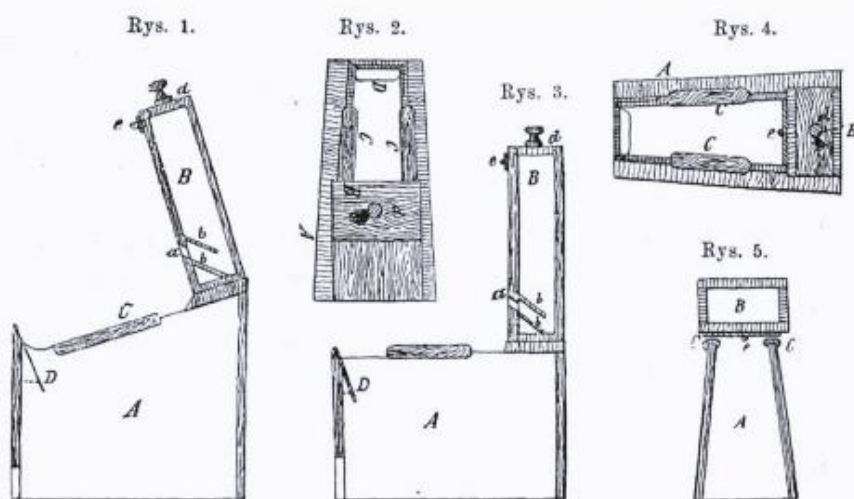
5. Że koszta proszku są znaczne. Na to odpowiem, że rzeczywiście bez kosztu się nie obejdzie; pud⁴ spodium kosztuje 80 kopiejek, na każdego człowieka potrzeba 3 pudy rocznie, na 30 więc 90 pudów, że zaś całą zimę do proszku można domieszywać pół na pół popiołów z pieców, najmniej więc o 20 pudów możemy liczyć mniej, a jeszcze 10 pudów odjąć z tego powodu, że latem zwykle jest mniejsza ilość chorych, potrzeba więc właściwie na 30 osób 60 pudów proszku, co wynosi po 2 pudy na osobę, czyli po rubli w srebrze 1 kop. 60 na chorego, a na 30 osób 48 rs., sprowadzenie zaś jeszcze rs. 2 tj. 50 rs. Dla szpitala mieszczącego 20 chorych nie jest to rzeczą wiele znaczącą.

Wiadomości z Biura patentowego Kazimierza Ossowskiego w Berlinie.

Pudretowy klozet-siodło. — Feliks Rymkiewicz, inżynier w Warszawie.

Klozet powyższy może być budowanym w dwóch odmianach: albo z automatycznie zamykającą się pokrywą, lub też bez, i urządzony jest w ten sposób, że siadać nań można tylko konno, a nie stawać nogami.

Obie odmiany różnią się tylko tem, że w pierwszej pokrywa po zamknięciu jest w położeniu pochylem, w drugiej zaś poziomem. Rys. 1 — 4 przedstawia przekroje i rzuty poziome obydwóch odmian przy otwartych pokrywach, rys. 5 zaś — przekrój poprzeczny drugiej odmiany przy zamkniętej pokrywie. Przedsta-



wiony klozet składa się z pudła *A* formy trapezoidalnej, odkrytego z wierzchu i posiadającego u górnych brzegów walki *CC*, obite skórą lub czemkolwiek podobnem. Pokrywa *B*, przymocowana do pudła *A* zapomocą zawiasów, przedstawia skrzynkę, którą się napelnia proszkiem dezynfekcyjnym i która posiada wewnątrz dwie pochyle przegródki *bb*, pomiędzy którymi w wewnętrznej desce zrobiony otwór *a*. Do napelnienia skrzynki proszkiem służą drzwiczki *d*. Przy każdym podniesieniu pokrywy pewna ilość proszku wysypuje się w przestrzeń pomiędzy przegródkami *bb*, a przy jej opuszczeniu przez otwór *a* wysypuje się do pudła *A*. Dla złagodzenia uderzeń wskutek zamykania pokrywy, służą gumowe poduszeczki *e*. Do przedniej ściany pudła *A* przymocowany arkusz cynkowy *D*, służący do odprowadzania płynnych odchodów do znajdującego się w pudle zbiornika.

Jedna z odmian puderklozetu systemu inż. Rymkiewicza, wykorzystującego „proszek otwocki”⁵.

⁴ 1 pud to odpowiednik ponad 16 kilogramów [przyp. aut. opracowania].

⁵ „Przegląd Techniczny”, nr 45 z 6 listopada 1897 r.

Odparłszy w ten sposób wszystkie zarzuty, podaję, co na zasadzie ½ rocznej obserwacji wywnioskować mogę:

1. Urządzenie jednego przedziału kosztuje 8 rs., za co mamy sedes przymocowany, wiadro, skrzyneczkę i szufelkę. Sedesy winny być politurowane, a od górnego blatu ku dołowi winien być urządzony ruszt blaszany; grube kubły emaliowane; skrzyneczki zawierające przynajmniej ¼ puda proszku; przyciski mocne lub w miejsce takowych na ścianach urządzone płócienne torebki na papierze.
2. Wózek powinien być z grubych sztab żelaza, malowany olejną farbą i na drewnianych, kutych kołach.
3. Kubły winny być odkryte i pokrywane przykrywkami tylko w czasie wywózki, a to dlatego, aby między zawartością i przykrywką nie zbierał się siarkowodór, amoniak itp. i nie sprawiał przykrego odoru w chwili otwarcia przykrywek; powietrze powinno swobodnie przechodzić ponad zawartością szczelnie przykrytą warstwą proszku – spodium.
4. Trzeba pamiętać, aby każdemu choremu nowo wstępującemu dobrze objaśniono sposób użycia proszku i zalecić koniecznie użycie takowego, na niesfornych zaś wymierzyć karę.
5. Służbie surowo zalecić dogłębne czyszczenie, a najlepiejco dzień lub często po wizycie sprawdzać stan rzeczy.
6. Baczyć, aby kubły były wywożone na wózku, nie noszone na rękach i usuwane tylko na miejsca wskazane, a pod żadnym pozorem nie w inne miejsca – służbę w to trzeba wdrożyć.
7. Pamiętać, aby zawsze był zapas proszku lub popiołu, a kubły były odkryte dla zupełnego dostępu powietrza. Zakrywanie kubłów jest rzeczą niewłaściwą, gdyż przy braku dostępu powietrza, formują się gazy pod pokrywą, które przy podniesieniu takowej, nieco czuć się dają.

Naturalnie, jak każda reforma i ta potrzebuje uwagi, pilności, przełamania zwyczajów naszego zwykłego niedbalstwa i fałszywego wstydu. Obserwując jednak metodę, jestem z niej w zupełności zadowolony i śmiało twierdzę, że dla szpitali małych prowincjonalnych, gdzie kanalizacja przeprowadzoną być nie może, jest to metoda jedyna zabezpieczająca czystość powietrza korytarzy i sal, a przytem dająca się zastosować bez żadnych trudności.

Ponieważ urządzenie to funkcjonuje dobrze i z pożytkiem w szpitalu, gdzie potrzebnych jest 5-10 miejsc, nie ulega wątpliwości, że i w mieszkaniu prywatnym jest ono bardzo dogodnym. Potrzeba mieć naturalnie jakieś ocieplenie w zimie, a zacienienie w lecie; sedes jednak powyżej opisany oddaje rzeczywiste usługi.

Toż samo da się powiedzieć o hotelach i innych lokalach publicznych jak restauracje, resursy, teatry, jeżeli nie ma zaprowadzonej kanalizacji.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 56 z 12 października 1898 r.]

Znad Bugu (powiat ostrowski). Czas pochmurny, wilgotny i chłodnawy znamionuje wyraźnie, jaką porę roku przeżywamy. Małorolni kartofle wykopali, zamożniejsi przystąpili do tejże czynności, ogólnie zbiór zapowiada się dostateczny. Cena najemnika wynosi tu obecnie 20 kopiejek dziennie.

Jakby na urągowisko przepisom o ochronie leśnej, na Słomach niewielki las w pień wycięty, drzewo leżące przedstawia przykry wygląd pobojuwiska. Kupiec Żyd dla większego pośpiechu i zachęty płacił robotnikom niebywale drogo, bo po 60 kop., a przy ostatku po 75 dziennie. Wody na Bugu bardzo mało, z czego jesteśmy zadowoleni, bo z mniejszym pośpiechem drzewo ucieka granicę, a i tak niewiele go mamy. Siew żyta prawie ukończono.

Zdrowotność zadawalniająca, a jednak był wypadek, który i wszędzie może się wydarzyć, że człowiek w Milewku zachorował na żołądek i tejże nocy umarł. Przyczyna śmierci niewyjaśniona.

Służka.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 1 z 1 września 1929 r.]

Usiłowanie zabójstwa. W dniu 24 sierpnia b. r. gospodarz ze wsi Klimonty gm. Lubotyń Władysław Podbielski, zastał na swej posesji Stanisława Kośnika (lat 19) zamieszkałego we wsi Świerze [Świerże] gm. Lubotyń. Podbielski puścił się w pogoń za Kośnikiem, który wystrzelił do swego prześladowcy dwa razy z rewolweru. Policja skonfiskowała dobrowolnie oddany przez Kośnika siedmiostrzałowy pistolet systemu „Nagan” wraz z trzema nabojami. Kośnik tłumaczy się, że chciał Podbielskiego tylko nastraszyć za pobicie.